

Projekt historii jako dyscypliny – czy wielki?



Po kliknięciu w zdjęcie można obejrzeć wideo z wystąpieniem dr hab. M. Gawin. Wideo pochodzi z kanału: „[Polska Wielki Projekt](#)”

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski (*emeritus*)

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie

Projekt historii jako dyscypliny – czy wielki?

Dzięki
mediom elektronicznym wysłuchałem wystąpienia dr hab. Magdaleny Gawin na Kongresie „Polska Wielki Projekt”, a także późniejszego wywiadu z nią. Zainteresowało mnie, co powie tam nasza zawodowa koleżanka, bardziej niż co

powie pani wiceminister. Reaguję, dlatego że referentka jest historyczką, a nie z uczestniczką zebrania, gdzie nie miałbym żadnej legitymacji do zabierania głosu nawet zza sceny.

Moje

wrażenia są mieszane. Nie jest to eufemizm. Gdy referentka występuje przeciwko maniakałnym punktom jako głównemu kryterium oceny działalności naukowej, to oczywiście zgadzam się z nią. Już dawno informowałem świat, że co rano – chyba nikt w to nie wątpi – powtarzam sobie ślubowanie doktorskie i do słów, iż nie będę pracował dla marnej chwały itd., dodaję „i nie dla głupich punktów” (*nec ad stulta puncta capienda*). Też wiem, że humanistyka różni się od nauk przyrodniczych i ścisłych – jak referentka mówiła w wywiadzie. Inna sprawa, że chciałbym jak najbliższego kontaktu nawet między takimi dziedzinami, ale to inna sprawa. Zgadzam się, że humanistyka jest wartością autoteliczną, produkującą nie tylko wartości materialne, a może nawet nie tyle wartości materialne. Podobnie jak autorka jestem przeciwko jej instrumentalizowaniu.

Jednocześnie

dokonana przez referentkę ocena polskiej humanistyki jest moim zdaniem nieuzasadnione czarna. Sam nieraz wyrażałem się krytycznie o polskiej historiografii. Nie mogę jednak uznać, że prace są przepisywane przez jednych autorów od drugich, że historycy nie chodzą do archiwów, że uważają pracę nad historią XX w. za łatwą, że pewne środowiska monopolizują tematykę, że stworzono białe plamy. Nie akceptuję pojawiającego się w dyskursie publicznym zdania, że po 1989 r. zaniedbywano badania historyczne. Środowisko historyków zrobiło bardzo dużo właśnie dla zapisania „białych plam”, nawet jeśli problematyka historyczna wkrótce zeszła z czołówek gazet wobec bardziej doskwierających ludziom problemów transformacji i skupienia się elity politycznej na nich. Nie apróbuję poglądu, że wypiera się tematykę niepożądaną – na dodatek w interesie Zachodu, a już najpewniej w interesie Niemiec, także poglądu, że na Zachodzie nie przeprowadzono rewizji wizji historycznej... Dobrze, niejedno mogło się zdarzyć. Rzadko da się wykluczyć, iż żaden przejaw ganionych zjawisk nigdy się nie zdarzył. Może być, że w niektórych swoich tezach autorka była bardziej zniuansowana, niż je zrozumiałem (słuchałem, a nie czytałem!). Nie mogę jednak uznać nie tylko tego obrazu polskiej historiografii, ale również przestać dostrzegać ponownego pochylenia się nad analizami przeszłości w bardzo wielu krajach. Na tle tej jakże szerokiej (przed wirusem!) fali to raczej Polska jest jednym z państw mocno opornych w odniesieniu do przemyslenia

własnej przeszłości. Trudno mi także przyjąć pojawiający się w wystąpieniu referentki akcent domniemanego mętnego działania perspektywicznego poprzez wprowadzanie pewnych treści na uniwersytety. Zgoda, różne treści rodziły się

w dziejach na uczelniach, rozwijały się stamtąd – ale nie na zasadzie spisku. Prawdą jest natomiast, że w ramach różnych ustrojów mniej czy bardziej autorytarne władze chciały przejmować uczelnie. Niektórym nawet się to udawało.

Dosłyszałem sugestię, że jakimś środowiskom zależało, ażeby w Polsce nie rozwijać badań nad martyrologią okupacyjną. Takie zarzuty są zarzutami w najgorszym stylu. Nie wykluczam, że po latach mówienia (nawet jeśli często wybiórczego) o okupacyjnej martyrologii wielu historyków zajęło się inną tematyką, zwłaszcza przedtem przemilczaną. Teoria spiskowa mi wszakże nie odpowiada. Przypomina zarzut, iż Muzeum II Wojny Światowej zaprojektowano w interesie polityki historycznej Niemiec. Kolejna wizja – że wąskie, zmonopolizowane środowiska bronią swojej pozycji – nasuwa mi obserwację, iż może to właśnie inne środowiska chciałyby mieć decydujący głos i denerwują się, że świat ich nie docenia?

*

* *

Za dyskusyjne uważam też poglądy referentki w szerszych sprawach. Jestem za istnieniem relacji mistrz–uczeń, czego odtworzenie postuluje, ale nauka i nauczanie nie powinny funkcjonować, opierając się tylko na niej. Rzemieślnicy też byli przeciw produkcji fabrycznej, a jednak to fabryki zdominowały rynek. Rzemiosło pozostało czynne dla pewnych celów, artystyczne jest nawet cenione, maszyny zaś pracują. Referentka przypomina, że największe odkrycia i koncepcje

powstały w myśli ludzi, a nie w ramach grantów i punktów. Zgoda. Granty same z siebie nie są jednak ani dobrą, ani złą metodą rozdzielania pieniędzy.

Pytanie

tylko, na jakich polach służą i w jakiej proporcji finansowania. Byłbym oczywiście za częściowym finansowaniem podmiotowym, ale zadam pytanie, kto, jak

i komu będzie przyznawał pieniądze. Zresztą także będąc przeciw punktom, a za oceną uwzględniającą wartość prac, pomyślałbym, kto i jak miałby je oceniać. Mody w nauce? Tak, zawsze były, nieraz aż do śmieszności. Na ogół jednak coś zostawiały, na coś zwracały uwagę... Z czasem perspektywa postkolonialna czy tak

ośmieszana dziś w Polsce perspektywa feministyczna (już nie wymówię straszego

słowa „gender”) stanie się mniej popularna – ale coś z tego spojrzenia zostanie, gdyż ono wniosło pewne nowe pytania.

Zgadzam

się, że nie trzeba patrzeć wyłącznie na zachodnie stolice,, by wybrać cele badań i sposoby podejścia do tematów, lecz nade wszystko należy robić to, co badacza interesuje. Łatwo jednak stać się głęboką prowincją. Mając silne – jak

podejrzewam – zbiorowe kompleksy i przerośnięte na tym tle ambicje, faktycznie

zdradza się poczucie prowincjusza i pogłębia własną prowincjonalność. Znaczna część humanistyki jest narodowa w tym sensie, że jej audytorium w przemożnej części rekrutuje się z własnego kraju. Nawiasem mówiąc, warto zastanowić się, co rozumiemy w wypadku historii narodowej – zarówno w długim biegu czasu, jak na przykład w wypadku licznych mniejszości narodowych w okresie międzywojennym.

Warto również przemyśleć, co rozumiemy przez historię narodową przy zmianach granic. Kładzenie nacisku, według referentki zbyt dużego, na sprawy mniejszościowe może być jednak uzasadnione przy wielkiej liczbie przedstawicieli mniejszości w dwudziestoleciu i – do czasu – podczas okupacji. Wracając

do rzeczy: mała szansa, żeby duża część świata zainteresowała się akurat historią Polski – chociaż znam tutejszych autorów, których wynikami może nie cały świat, ale trochę ludzi z zagranicy zainteresowało się. Znam również takich, którzy prowadzili badania i publikowali w międzynarodowych zespołach – czemu

mogę tylko przyklasnąć. Nawet jednak jeśli trudno oczekiwać, by taka sytuacja była częsta, to nie jest metodą uprawianie historii jako narodowej dla przedstawiania dziejów jako czegoś wyodrębnionego, wyjątkowego, służebnego wobec podbijania bębena narodowej ambicji, już nie mówiąc o deprecjonowaniu innych. Humanistyka powinna czerpać z własnej gleby i w znacznym stopniu pracować dla własnego audytorium. Poza wszystkim, czerpiąc z własnej gleby, może być bardziej interesująca dla świata, niż dublując działania znanych ośrodków. Nie może wszakże wracać do dziewiętnastowiecznego modelu pracy „ku pokrzepieniu serc”. Nie ma sensu stać przed lustrem i wołać „jaki jestem piękny

i jak cierpiący” (przecież nawet ofiarą mamy być największą i jeszcze być z tego

dumni!). Badacz, także humanista, nie powinien kierować się chęcią pogłaskania

ambicji własnego audytorium czy wręcz przypodobania się mu. Pozytywnym przykładem jest dla mnie twórczość wielkich prozaików latynoamerykańskich i tamtejszych socjologów – jednych i drugich zakorzenionych w miejscowej rzeczywistości i jej doświadczenie przenoszących do świata, ale nie Nikiforów (przy skądinąd pełnym szacunku dla Nikifora Krynickiego, jak zresztą do każdego twórcy).

Nie

ma sensu kształtować prowincjonalnej nauki, a zresztą nawet własną historię powinno się rozpatrywać w związku z historią otoczenia, a moim zdaniem też porównawczo i problemowo. Własne podwórko, nawet najpiękniejsze, nie

wystarczy –

a czasem warto też widzieć jego brzydsze aspekty. Każdy kraj ma w swoich dziejach fakty piękne i fakty brzydkie. Małutkie dziecko w bliskiej mi rodzinie było kiedyś podziwiane przez gości w stylu „o, jaki śliczny chłopczyk” itd. Nagle samo dziecko zabrało głos i z niezadowoleniem powiedziało: „no!malny”. Dziecko wcześniej miało swój rozum.

* * *

Kolejna

sprawa: może warto zastanowić się, pod którym adresem kierować przedstawiane zarzuty. Punkty? Prawda, że nie rząd Zjednoczonej Prawicy je wprowadził, ale to

minister z tego obozu je podtrzymał, może nawet umocnił. Instrumentalizacja historii? A czemu służy bliska przecież autorce z tytułu pełnionej funkcji „polityka historyczna”? Wytłumianie obszarów badań jest niedobre? Czemu zatem służyła nowelizacja ustawy o IPN? Monopolizacja historii przez niektóre środowiska? A czemu służyły operacje wobec Muzeum II Wojny Światowej i Muzeum Polin?

No i kto wyłączył plac Piłsudskiego z miasta Warszawy, a Westerplatte z miasta

Gdańska? Jaki jest cel całej polityki wobec pamięci o „Solidarności”? To mógłby

być notabene wielki temat, równie „wewnętrzny” jak „eksportowy” na polu historii. Nie na nim się jednak buduje. W gruncie rzeczy deprecjonuje się go.

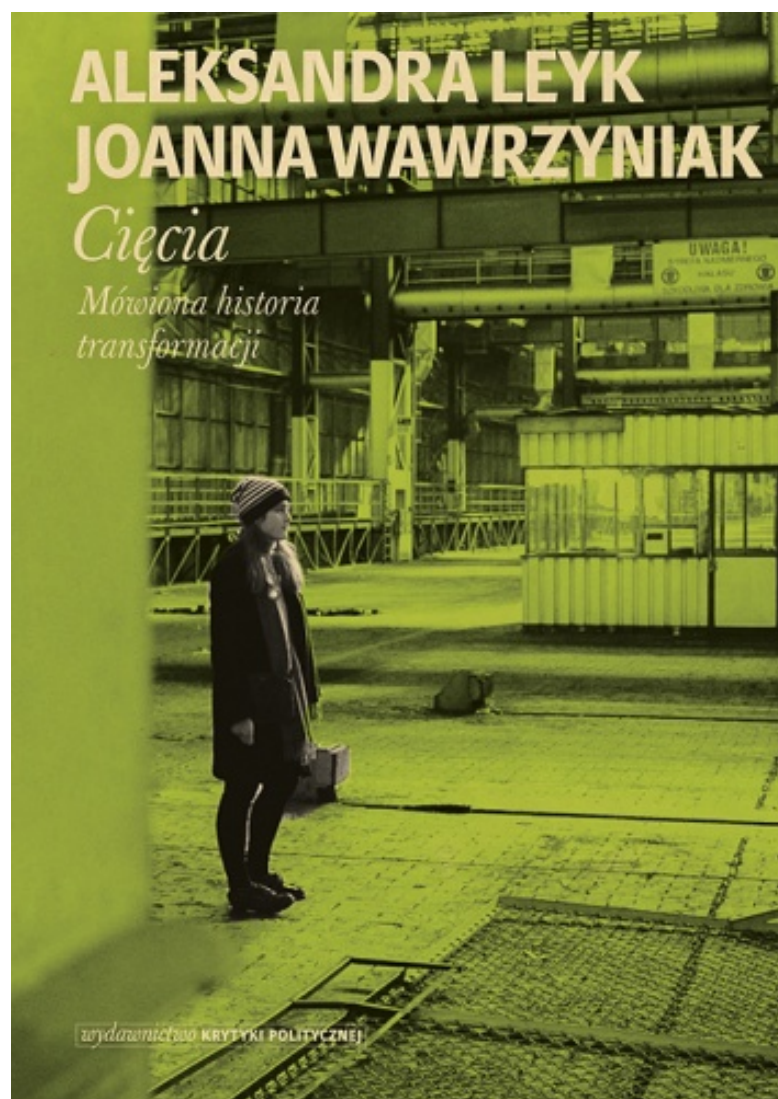
*

* *

Wiem, że druga strona mówi z grubsza to samo o stronie mi bliższej. Nieraz to są podobne tezy, tylko z przeciwnym wektorem. Tak już pewno zostanie. Nawet wirus nie zakłajstruje tego rozłamu. Obydwoje zaś – wraz z referentką – jako historycy wiemy, że nie można liczyć, iż spór rozstrzygnie historia. Ona niczego nie rozstrzyga, co najwyżej spór przestaje być aktualny. Ten spór ma jednak cechy długiego trwania. Kiedyś będzie pasjonującym tematem dla historyka funkcjonowania naszej dyscypliny w społeczeństwie.

Korekta językowa: Beata Bińko

Piękna młodość, dobre czasy?



MARCIN KULA

Piękna młodość, dobre czasy?

Aleksandra Leyk, Joanna Wawrzyniak, *Cięcia. Mówiona historia transformacji*, Wydawnictwo „Krytyki Politycznej”, Warszawa 2020

Recenzowana książka zdobyła moje serce już w boju wstępnym. Jest pracą z zakresu historii społecznej, dziś mało popularnej. Autorki odnoszą się do historii najnowszej, czyli wchodzą na pole ostrej bitwy, ale to innym pozwalają zabierać głos. Badają socjalistyczny przemysł oraz drogi jego prywatyzacji. Rozpoznanie tych zagadnień jest nie mniej ważnym elementem wiedzy o transformacji niż tropienie tajnych współpracowników i sensowniejszym działaniem w odniesieniu do przeszłości niż przemeblowywanie wizji historii i nazw miejscowych. Co nie najmniej ważne, autorki napisały książkę z bliskiego memu sercu pogranicza historii i socjologii. W kwestii refleksji nad stosunkami pracy w socjalistycznym przemyśle kontynuują drogę, którą w moim otoczeniu szła prof. Małgorzata Mazurek (*Socjalistyczny zakład pracy*, 2005). Oczywiście zarówno w konwencji socjologii, jak historii można by posuwać się dalej. Autor książki o prywatyzacji zakładów w Bydgoszczy i regionie Sławomir Kamosiński wykorzystał na przykład akta archiwalne dotyczące poszczególnych zakładów (*Przedsiębiorstwa w przebudowie*, 2015). Sam chętnie widziałbym głębsze zajęcie się autorem kwestią subiektywizmu pamięci. Rozumiem jednak, że grubą książkę trzeba kiedyś zamknąć.

Podstawą studium

są wywiady zebrane przy pomocy studentów socjologii UW – co cieszy, gdyż nie ma

lepszej metody kształcenia niż aktywny udział w badaniu. Przekazane treści zarysowują dużo realiów PRL. Niektóre z nich są pyszne – na przykład opis sytuacji, gdy fabryka papieru podejmuje produkcję papieru toaletowego, by

mieć go na wymianę na potrzebne jej części do maszyn z innymi fabrykami. Kierowca dyrektora fabryki wozi zapas papieru toaletowego jako specyficzny prezent dla milicjantów zatrzymujących go za wykroczenia drogowe – a oni chętnie zaspokajają się takim „mandatem”. Dyrektor PolMotu, czyli państwowej firmy obracającej wyprodukowanymi samochodami, obiecuje ministrowi, że sprzeda ich tyle, ile trzeba i gdzie trzeba, ale oczekuje od ministra talonów na samochody

dla pracowników. Wprost mówi mu, że załatwi transakcję, jeśli dostanie talony.

Jest dumny, jak wielu pracownikom dał talony (s. 336: „Tą metodą co siódmy pracownik przez te cztery lata otrzymał [sic!]

ode mnie [sic!] samochód”). Miejskowy

sekretarz PZPR przestrzega dyrektora czegoś tam przed stosowaniem zachodnich metod kontroli jakości przy wykorzystywaniu licencji Uniroyal na produkcję opon. Ten odpowiada: „Prawie mnie pan przekonał. Tylko niech pan przekona oponę, żeby ona była dobra na sposób socjalistyczny czy kapitalistyczny. Oni dostarczają system, który ma gwarantować, że ta opona będzie dobra” (s. 290). Przypomina się przedstawienie STS-u, w którym aktor deklarował: „Nie ma kapitalistycznego

zeszytu w kratkę. Nie ma socjalistycznego zeszytu w kratkę. Jest tylko dobry lub zły zeszyt w kratkę” (cyt. z pamięci).

Mimo takich

„kawałków” przy lekturze rzuca się w oczy nostalgia udzielających informacje za minionymi czasami. Zakłady, w których pracowali za PRL, rysują się sympatycznie, ludzko, jako miejsca, gdzie się żyło życiem wspólnotowym. W wywiadach wracają wątki opieki nad pracownikami w postaci premii, wycieczek, organizowania dnia kobiet, funkcjonowania bufetów, stołówek, sklepów zakładowych, ośrodków wypoczynkowych, udzielania pomocy w sprawach mieszkaniowych... Pracownicy wspominają nieco rodzinne stosunki między nimi: obchodzenie imienin, opijanie 1 Maja (wódka w czajniku!)... Mówią o pracy całych rodzin, nawet kolejnych pokoleń w tych samych fabrykach... Nawet sekretarze PZPR wspominani są jako tacy, do których można było pójść i uzyskać pomoc. Nie widać w ich wypadku wielkiego zapału ideologicznego. Przynależność do partii jest z obu stron traktowana pragmatycznie, nieraz instrumentalnie.

W sumie z tym systemem – przynajmniej w świetle wspomnień – dawało się współżyć, może nawet nie było w nim źle. Jest to obraz zupełnie inny niż nasz o takich zakładach, formułowany z zewnątrz, i ten, który robotnicy ujawnili dosyć masowo w 1980 r. (Pracownica FS0, która w ramach Solidarności przygotowywała wybory 1989 na warszawskiej Pradze, s. 382: „Była taka radość, taka euforia, że nareszcie nie ma tej komuny, tej ciemnoty, którą nam wciskali. Jest nadzieja, że będzie lepiej. Wtedy wszyscy myśleliśmy jednymi kategoriami”).

Rozmówcy badaczy dużo mówią o FS0. Ta fabryka była prawie symbolicznym przykładem przemysłu PRL-owskiego. Powstała od zera, miała stanowić robotnicze przeciwstawienie urzędniczo-inteligenckiego miasta, była przeogromna... i nic z niej nie pozostało po transformacji. Byli pracownicy mówią o niej raczej dobrze. No cóż, nie byłem robotnikiem FS0. Mam jednak pewne wspomnienia o niej – bowiem posługiwałem się samochodem tam wyprodukowanym. Żerańskie samochody miały zaś pewną fatalną wadę: często się psuły. Pamiętam, jak kiedyś w zimie wiozłem rodzinę do Zakopanego dużym fiatem, którego nowy rozrusznik był uprzejmy się zepsuć 50 km za Warszawą. Ponieważ, zwłaszcza z dziećmi, trzeba czasem na takiej trasie stanąć, więc starałem się stawać na pochyłych odcinkach szosy – by żona mogła mnie łatwiej popchnąć. Przy przejeździe w tłoku przez Gorce „modliłem się”, by silnik nie zgasł – ponieważ pod górę nie można zapalić samochodu „na pych”, a zatrzymałbym ruch na wąskiej szosie. W szczególności żerańskie samochody okropnie nie lubiły rano zapalać. W zimie ludzie wręcz brali akumulatory do

domu, by nie słabły. Akumulator to nie piórko. Wszystko było jednak lepsze od porannego „piłowania” rozrusznika, dobiegającego z każdego kąta parkingu. Do dziś, gdy słyszę czasem takie piłowanie, myślę: „Co za szczęście, że to już nie ja!”.

Beznadziejnie

brakowało części zamiennych, a mnie zdarzyła się potrzeba zdobycia całej nowej

karoserii. Inny kierowca zrobił sobie mianowicie garaż w kufrze mojego samochodu. Ja wyszedłem z tego cało, ale nadwozie do niczego się już nie nadawało. Zostawmy na boku, jak zdobyłem przydział na nowe – bo bez przydziału

sprawa byłaby beznadziejna. Zdobyłem je jednak. Oznaczonego dnia wynająłem samochód pomocy technicznej i pojechałem po karoserię. Samochód wjechał wraz ze

mną na teren fabryki rano, gdyż samego kierowcy później by nie wpuszczono. Kierowca, znający życie, zaraz za bramą poszedł spać – wiedział, że ja przed końcem dnia nie uporam się z moją karoserią. Sam zaś przystąpiłem do załatwiania gigantycznych formalności i płatności. Wszystko było zorganizowane

tak, ażebym musiał przemierzać w obu kierunkach teren FS0, mający długość kilku

przystanków tramwajowych – tylko w środku nie było tramwaju. Na dodatek przerwy

śniadaniowe urzędniczek miały charakter kroczący i były chyba skorelowane z załatwianiem przeze mnie kolejnych etapów sprawy. Każda następna urzędniczka zaczynała przerwę, gdy ja się do niej zbliżałem. W sprawach motoryzacji każdy,

kto czymś dysponował, miał wówczas silną władzę. Diagnosta lub właściciel stacji obsługi byli królami. Urzędniczki FS0 były więc co najmniej królowkami.

Stopniowo dzień

zbliżał się do końca, a ja do końca mojej drogi i moich sił także. Karoseria została załadowana na samochód pomocy technicznej. Kolejni nabywcy z karoseriami na samochodach ustawili się karnie w kolejkę do ostatniego etapu: kontroli straży przemysłowej. Ta interesowała się specyficznie jedną sprawą: czy w karoserii nie zamontowano czegoś (np. lusterka), do którego nabywca nie miał

prawa bądź za ten element nie zapłacił. U mojego poprzednika wykryto „nadwyżkę”

w postaci wlewu benzyny. Tłumaczył, że taką karoserię mu sprzedano, że on przecież tego wlewu nie umieścił w niej sam. Nic nie pomagało. Zdenerwowany facet wziął więc młotek od najbliższego robotnika i jednym uderzeniem wybił nieszczęsny wlew (niszcząc go oczywiście i gdzieś odrzucając). Mnie zakwestionowano jedynie tabliczkę „125p” („Emblemat się panu nie należy”). Tabliczka na szczęście dała się oderwać ręką.

Gdy porównuję swoje wspomnienia z tego dnia spędzonego za murem na Stalingradzkiej (dziś Jagiellońskiej) – a mógłbym rzecz rozwijać – ze wspomnieniami pracowników fabryki zawartymi w książce, to czuję zawodowo ekscytujący niepokój. Mam w końcu przed sobą dwa źródła (moje wspomnienia też są coś warte!). Mówią one co innego. Jako historyk powinienem z tego wybrnąć. Nie potrafię. Mogę tylko pytać: czy mojego pokolenia obraz PRL był przesadnie czarny – nawet jeśli sam nie poczuwałbym się do takiego grzechu? Czy myśmy zwracali uwagę na inne sprawy niż nasi współobywatele robotnicy? Czy te socjalistyczne fabryki dawały ludziom coś przypominającego bardziej cywilizację agrarną (wieś sąsiadów skupionych wokół dziedzi-cia-opiekuna) niż zakład pracy w stylu kapitalistycznym? To byłoby notabene ciekawe w kontekście obecnego rozgrywania w polskiej polityce hasła Polski „solidarnej” przeciw „liberalnej” (niezależnie od zakładanej treści tych terminów). Czy też może zwłaszcza byłym pracownikom żal, że w skrajnym wypadku – jak w FS0 – po sprywatyzowanej na rzecz kapitału zagranicznego fabryce mógł pozostać pusty plac z resztką ruin? (To też byłoby ciekawe z punktu widzenia części dzisiejszego dyskursu politycznego!).

A może starsi już dziś ludzie upiększają swoją młodość w sytuacji, gdy życie na ogół ich nie pieści? Czy dla różnych przyczyn może przeczerniają nową rzeczywistość? W końcu nawet w kapitalistycznych fabrykach na świecie istnieją jakieś społeczności pracownicze, podczas gdy w dzisiejszej Polsce stopień zorganizowania się robotników w związki zawodowe jest zaskakująco niski. Rozumiem, że atomizację można odczuwać jako nieprzyjemną zmianę i respondenci mogą się do tego ograniczyć – ale zagadnienie jest warte dalszych studiów ze strony badaczy.

Może zaś „wydźwięk” (słowo znane w dyskursie komunistycznym!) książki wynika z tego, że osoby przeprowadzające wywiady, należące już do następnego pokolenia, nie dociskały opowiadających, gdyż same inaczej patrzą na PRL niż my – a dokładniej niż wielu z nas patrzyło zwłaszcza w trakcie końcowej kompromitacji systemu i po jego upadku? Zmiana postrzegania, a nawet częściowa rehabilitacja zjawiska w kolejnych pokoleniach badaczy nie jest nowa w dziejach historiografii. Na dzień dzisiejszy skonstatujmy, że niezależnie od tego, na jakim obrazie stanie za 100 lat, lepsza jest różnica spojrzenia niż budowanie jednolitej, chwalebnej wizji historii kraju bohaterskiego i dumnego.

Redakcja językowa: Beata Bińko

Marcin Kuła: Przepraszam, ja bez żadnego trybu



Przepraszam, ja bez żadnego trybu

Wojciech Tygielski, *W podróży po Europie. Studia z dziejów kultury nowożytnej*, red. Anna Kalinowska, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019, ss. 548.

Wiem, że wypowiedanie się o epoce innej niż ta, którą historyk się zajmuje, jest grzechem niewybaczalnym i należy się go wystrzegać. Cóż ja poradzę, że czasem sięgam jednak do książek o dawnych czasach. Czynię tak, by umocnić się w przekonaniu o istnieniu ciągłości dziejów, w którą można zwątpić, patrząc na głębokość naszych specjalizacji. Ostatnio przeczytałem zbiór rozpraw Wojciecha Tygielskiego, opublikowany z okazji jego jubileuszu. No i znalazłem w nim zagadnienia interesujące dla siebie – choć z wiekami XVI i XVII utraciłem kontakt równo 50 lat temu, gdy obroniłem pracę doktorską. Tygielski

pisze o migracjach występujących pomiędzy Polską a Włochami oraz o sprawach, które dobrze widać przy okazji zajmowania się właśnie przemieszczaniem się ludzi. Otóż sam wiele pracowałem nad migracjami i tymi dalszymi sprawami w odniesieniu do czasów późniejszych. Jestem nadto za przełamywaniem chronologicznych barier w specjalizacji, która powinna się koncentrować na sprawach, a nie na okresach dziejowych. Dla tych dwóch powodów odważę się wejść na obcy teren i skreślić parę słów na marginesie przeczytanej książki.

Jestem przede wszystkim zaskoczony, w jak wielkim stopniu kwestionariusz pytań stawianych w odniesieniu do ruchów migracyjnych późniejszych może być stosowany w odniesieniu do migracji Włochów w XVI i XVII w. do Polski, oraz tym, że autor go stosuje. Niektóre odpowiedzi jednak oczywiście różnią się – ale nie wszystkie.

Pierwsze pytanie dotyczy tego, kto migruje. W dzisiejszych kategoriach powiedzielibyśmy, że z Włoch jechali do Polski fachowcy. Nie widać u Tygielskiego osadniczej migracji rolników ani migrantów politycznych lub religijnych – te zaś grupy dominowały w historycznych falach emigracyjnych z Polski. O emigracji polskich fachowców, choćby nie wysokiego szczebla specjalizacji, można mówić dopiero od niedawna. W odróżnieniu od podstawowej masy późniejszych emigrantów z Polski ci Włosi nie pochodzili z najniższych hierarchicznie grup społecznych i po przybyciu na miejsce nie obracali się wśród chłopów.

Odmienne niż w późniejszych procesach emigracyjnych związanych z Polską te, o których pisze Tygielski, były dwukierunkowe. Z Polski też podążali do Italii różni podróżnicy – posłowie czy młodzi szlachcice – dla „przetarcia się” i pobrania nauk.

Jakimi drogami i za pomocą jakich środków komunikacji ci ludzie przemieszczali się? W tym wypadku różnica między epokami jest oczywiście ogromna. Niemniej jednak zdumienie, że migranci włoscy byli w stanie przemierzyć ogromne przestrzenie, występuje równie dobrze w odniesieniu do chłopów polskich jadących do Ameryki w końcu XIX w. Może nawet w wypadku tych drugich jest większe. Z punktu widzenia subiektywnego odczucia eskapady przepłynięcie statkiem przez Atlantyk było większym przeżyciem dla mazowieckich chłopów niż cała droga nad Wisłę dla Włochów – choć na statku bandyci nie napadali (jeśli, to może w drodze do portu). Przy okazji zapytajmy: czy jadący Włosi bali się bandytów?

Dalsze pytanie: jak po przybyciu na miejsce wyglądał kontakt migrantów z ziemią rodzinną? Różnica między czasami badanymi przez Tygielskiego a późniejszymi jest oczywista. Ewolucja w tym zakresie rzutowała zresztą na całość zjawiska migracji. Listy bardzo długo pozostawały jednak podstawowym środkiem komunikacji. Tygielski intensywnie wykorzystuje je w badaniu, czym, nawiasem mówiąc, zyskuje sympatię moją jako amatora listów traktowanych jako źródło. Problem jednak w tym, że ci migranci, którym się marnie udało, nieraz upiększali opisy, a ci, którym się zupełnie nie udało, najczęściej nie pisali. W listach, podobnie jak np. w księgach miejskich badanych przez Tygielskiego, stosunkowo marnie odbijała się banalna codzienność, podczas gdy bardziej wydarzenia zwracające uwagę. Pytanie jednak, jak kursowały owe listy? W jakim stopniu ich autorzy umieli je pisać, a odbiorcy czytać?

Tygielski rozważa problematykę ludzi – jak się zdaje – umiających jedno i drugie. Nie wątpię jednak – na podstawie własnego doświadczenia z listami chłopskimi – że on sam musiał dodatkowo uczyć się je decyfrowywać, choć książki czyta (i pisze!).

Kto pokrywał koszty przejazdu migrantów? Autor dużo mówi o finansowaniu i organizacji wyjazdów młodych polskich szlachciców do Włoch (z grubsza biorąc: rodzice dawali pieniądze). Mało dowiadujemy się o finansowaniu podróży Włochów. Czy polska szlachta (magnateria, dwór) ściągająca fachowców pokrywała koszty ich podróży? Czy istniało znane z późniejszych czasów zjawisko migracji łańcuchowych, w których wcześniej jadący sprowadzali następnych? Czy migranci po zakorzenieniu się na nowym miejscu ściągali rodziny? W ogóle mało wiemy, czy występowała znacząca migracja rodzin. Czy w wypadku decyzji migracyjnej działał mechanizm relatywnej deprawacji? Interesujące są dla mnie uwagi Tygielskiego o doborze włoskich migrantów spośród ludzi dzielnych, zmierzających do pewnego celu itd. Można to uogólnić i stwierdzić, że emigracja jest procesem selekcji dodatniej. Tak mi powiedział Zygmunt Bauman w kontekście mojej pracy magisterskiej, gdzie poświęciłem dużo miejsca procesom migracji. Chyba jeszcze wtedy (1967) nie przypuszczał, że wkrótce stanie się emigrantem, a w jego przypadku wypowiedziana teza znajdzie potwierdzenie.

Co migranci wiedzieli o kraju, do którego jechali? Tygielski interesująco śledzi publikacje o Polsce, konstatując wzrost ich liczby. Analizuje również treść listów. Realistycznie jednak stwierdza, że trudno jest ustalić, jaka była faktyczna wiedza jadących o kraju docelowym. Czytając Tygielskiego, odnoszę wrażenie, że ich wiedza wówczas była porównywalna z wiedzą chłopów z północnego Mazowsza o Brazylii lub USA w końcu XIX w. Jeżeli już, to była większa. Nie wiem, czy ówczesne Włochy stały wyżej w znajomości świata, czy też jadący stali wyżej w hierarchii społecznej, ale nie wydaje mi się, by krążyły wśród nich legendy o kraju docelowym takie jak na mazowieckich wsiach o Ameryce. Jednocześnie ciekawe jest porównanie dawnej wiedzy migrantów z wiedzą, powiedzmy, dzisiejszych kandydatów do wyjazdów. Nawet jeśli dziś Europa przyciąga ludzi z innych kontynentów podobnie jak kiedyś Ameryka, rzekomo mlekiem i miodem płynąca, to obecnie choćby najbardziej ubodzy jakieś obrazy świata znają z telewizji. Decydują się ruszyć w drogę często właśnie dlatego, że znają. Napływ liczniejszych i bardziej zróżnicowanych wiadomości, wynikający ze zmian cywilizacyjnych, wpłynął też na cechy kanałów przekazywania informacji, które interesują autora. Dziś dyplomaci nie przekazują obrazów w gruncie rzeczy krajoznawczych, takich jak występujące w czasach nowożytnych w raportach nuncjuszy – choć jeszcze w historycznie niedawnych dyplomatycznych raportach francuskich, jakie czytałem, było ich sporo.

Pytanie, na jakie obszary kraju docelowego trafiała grupa migracyjna – czy na tereny stagnacyjne, czy w rozwoju? Czy rozpraszała się, czy tworzyła zwarte skupisko? Czy z różnych przyczyn miała skłonność do trzymania się między sobą, czy wchodziła w lokalne środowisko? Czy trafiała do miast, czy na wieś? Czy ceniła nowy kraj? Jakie pojawiały się wzajemne stereotypy w społeczności migrującej oraz przyjmującej? Pytanie też, w jakie miejsce struktury zawodowo-społecznej trafiali migranci. Te czynniki zawsze – jak mi się zdaje

– miały i mają fundamentalne znaczenie dla procesów asymilacji fali migracyjnej na nowym terenie. Utworzenie zwartej skupiska nie sprzyja im, wieś sprzyja mniej niż miasto, możliwość aspirowania do wyższych warstw lokalnych jest korzystna dla asymilacji, skojarzenie jakiegoś miejsca w strukturze zawodowo-społecznej z grupą przybyszów jest fatalne, a perspektywicznie łatwo prowadzi do konfliktów. Może zaistnieć taka sytuacja, jak swego czasu w Polsce z Żydami. Spychano tę grupę ku zajęciom handlowym, których szlachta nie chciała, a potem zgłaszano pretensje, że zajmują miejsce chrześcijańskiego mieszczaństwa i wyzyskują innych. Dziś w wielu krajach miejscowi przecież nie chcą wykonywać wielu prac, które zrzucają na imigrantów – ale grzmią, że ci zajmują miejsca na rynku pracy.

W rozważaniach nad sytuowaniem się przybyszów warto pamiętać o rozróżnieniu asymilacji kulturowej i strukturalnej. W końcu można wciąż mówić własnym językiem, jeść zgodnie z obyczajami kraju wyjściowego itd., a jednak funkcjonować w strukturze nowego kraju – i odwrotnie. Istotnym dla problematyki asymilacji czynnikiem była też okoliczność, czy ludność kraju docelowego była z grubsza jednolita i w jakim stopniu miała poczucie własnej odrębności, także to, czy migranci pochodzili z jednej grupy, czy z wielu. Jeden z chłopskich emigrantów do Brazylii napisał swego czasu w liście do rodziny, że z początku było mu trudno dogadywać się z miejscowymi, ale z czasem nauczył się trochę niemieckiego (!), to już mu było łatwiej. Gdy minęło kilkadziesiąt lat, Brazylija ostro zabrała się do tego, by doprowadzić wszystkich do mówienia po portugalsku i by wszyscy stali się Brazylijczykami. Czy takie działania w ogóle mogły być podejmowane w XVI i XVII w.?

Bardzo ciekawe są wnioski, jakie Tygielski formułuje o stosunku do Włochów w Polsce, dla szerszych rozważań nad stosunkiem grupy dominującej do mniejszości narodowych, niekoniecznie zresztą powstałych w drodze imigracji. Kłopoty Polski XVII w. postawiły na porządku dziennym kwestię lojalności Włochów, a raczej wywołały zarzuty o brak lojalności. „Cudzoziemscy przybysze zaczęli być obwiniani o wszelkie zło; ich obecność i działalność stała się łatwym wytłumaczeniem kłopotów, które stopniowo coraz intensywniej nurtowały szlachecką społeczność. Chytry i przebiegły Włoch, pozbawiony całkowicie znamion lokalnego patriotyzmu, bogacący się nieuczciwie kosztem swoich poczciwych i łatwowiernych polsko-litewskich gospodarzy, którzy przez to popadają w ruinę, stanie się pierwowzorem stereotypu różnorodnych mniejszości, obwinianych później w polskiej zaściankowej, narodowo-katolickiej retoryce o wszelkie zło tego świata; pierwowzorem »żydów«, »cyganów«, »masonów«” (s. 405). W sumie: Włosi odegrali zatem rolę modernizacyjną (sic!), bowiem takie zjawiska są (niestety!) typowymi zjawiskami nowoczesnego świata, niezależnie od tego, jak definiować owo pojęcie.

Z punktu widzenia funkcjonowania, a zwłaszcza asymilacji przybysza w nowym kraju ważny jest kulturowy dystans obszaru przyjmującego oraz kraju wyjściowego. W wypadku ruchu ludzi między Polską a Włochami występowały okoliczności zmniejszające dystans (religia, duża rola łaciny, pewna znajomość wzajemna trwająca od dawna, ten sam kolor skóry, dominacja gospodarki rolnej...). Nadzwyczajnie ciekawe są jednak pasjonujące Tygielskiego odmienności w strukturze społecznej i organizacji rządzenia państwem,

rzutu na wrażenia Włochów. Przy czytaniu książki czytelnik może umocnić się w przekonaniu, że nigdy nie będzie dosyć zastanawiania się nad zdominowaniem struktury polskiej organizacji państwowej przez szlachtę i nad konsekwencjami tej specyficznej kastowości. Tygielski wiele razy wraca do pytania, czy Polska była wówczas krajem zacofanym. Włosi widzieli, że była bardzo odmiennym – nawet jeśli mogło im być wygodnie funkcjonować w ramach luźniejszej struktury państwowej, właśnie zdominowanej przez szlachtę. Ta struktura miała skłonność do „zasklepienia się i konserwowania” (s. 108). Bardzo interesująca jest wielokrotnie poruszana przez Tygielskiego sprawa sprzyjania bądź przeciwdziałania wyjazdom synów szlacheckich za granicę. Nie ma w tej sprawie diagnozy jednoznacznej. Ciekawe, że w niejednym kraju rządzonym absolutystycznie i w sumie konserwatywnym pojawiała się taka niechęć (sułtańska Turcja, wielokrotnie Rosja). Ciekawe, że w Polsce owa niechęć pojawiała się oddolnie (jeśli uznać szlachtę za „dół”). Rzecz ma związek ze znacznie szerszą sprawą otwartości *versus* ksenofobii kultury szlacheckiej, która to sprawa fascynuje Tygielskiego (s. 396: „Z jednej strony mamy więc potwierdzenie konsekwentnej obecności cudzoziemców w strukturach staropolskiego społeczeństwa, co wskazywałoby na istnienie trwałych warunków takiej obecności sprzyjających, z drugiej zaś – dysponujemy licznymi przykładami antycudzoziemskiej retoryki, zarówno w tekstach literackich, jak też publicystycznych, oraz pewną liczbą postanowień organów władzy państwowej skierowanych przeciwko cudzoziemcom; dodajmy, postanowień ponawianych, co mogłoby świadczyć o ich nieskuteczności”). Otwartość na wpływy zewnętrzne mogła tłumaczyć podatność szlacheckiego społeczeństwa na kontrreformację (s. 395–396). Ta teza Tygielskiego mocno mnie zaskoczyła. Zawsze mi się zdawało, że kontrreformacja szła w parze z zamkniętością społeczeństwa. Dodajmy, że sprawa otwartości (zamkniętości) miała związek ze zjawiskiem długiego trwania: obawami przed Zachodem, pojawiającymi się przecież także dziś.

Rozważania nad sytuowaniem się Włochów nad Wisłą oraz nad ich wrażeniami prowadzą autora do porównań Polski z innymi krajami. Tygielski stawia pytanie, czy Rzeczpospolita szlachecka była „paradoksem historii, czy europejską normą” (s. 106–119). Przewaga szlachty nad mieszczaństwem była wówczas czymś normalnym nie tylko w Polsce. Swobody dla szlachty (przy ograniczeniach dla mieszczaństwa) zawarte w statucie piotrkowskim z 1496 r. były wszakże wyjątkiem (s. 108, za Antonim Mączakiem). Niezależnie od wrażeń ówczesnych Włochów wiele elementów obrazu zarysowanych w tej książce jest ważnych dla problematyki procesów modernizacyjnych – na przykład budowanie sobie klienteli przez możnych czy otwarte szukanie i dawanie protekcji... Klientelizm jest zjawiskiem ponadpokowym – o czym dobrze wiedział wielokrotnie przywoływany w książce Mączak. Dziś też nieraz szuka się protekcji, ale najczęściej się to ukrywa, nieprawdaż? Czy jednak wówczas w Polsce w ogóle istniały inne drogi uzyskania czegoś niż działanie w ramach rodziny lub po prośbie? Polska była wtedy opóźniona w budowie zawodowej biurokracji zarówno w stosunku do Zachodu, jak w stosunku do Wschodu (s. 203). Intuicyjnie zwłaszcza zapóźnienie w stosunku do Wschodu trudno zrozumieć. Jeśli zaś uznać, że podstawowa dla sprawy była dominacja władcy nad szlachtą (w Polsce było z grubsza odwrotnie), to staje pytanie, dlaczego ten Wschód szedł jednak inną drogą. Carom można zarzucić różne rzeczy, ale na ogół nie to, ażeby nie panowali nad bojarami.

Słabość aparatu państwowego mogła mieć pozytywny skutek w postaci panującej w kraju dużej tolerancji. Tygielski cytuje opinię Giovanniego Barnbardo Bonifacio, markiza d'Oria, do Sebastiana Castellona, list z 30 czerwca 1561 r.: „Miałbyś tu (...) największą wolność życia wedle własnej myśli i upodobania, również tworzenia i drukowania. Nikt nie jest tu cenzorem” (s. 502). No cóż, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Ciekawa jest obserwacja Tygielskiego, że to wzorce włoskie oddziaływały na Polskę, a nie odwrotnie (s. 397). Mówi nawet mocniej: „Intensywne kontakty z Italią, w tym imigracja polska, stanowiły więc dla Rzeczypospolitej szansę modernizacyjną; szansę unikalną, a przy tym – powiedzmy to wyraźnie – szansę niewykorzystaną” (s. 398). Autor aprobowując przytacza opinię Antonio Marii Grazianiego, sekretarza nuncjusza papieskiego, z 1563 r., że „Polacy za granicą chłoną obce zwyczaje, są skłonni je akceptować i przyswajać, tymczasem później, już u siebie, przyjmują postawę ksenofobiczną” (to słowa Tygielskiego). Dlaczego działo się właśnie tak? „Tam, na obczyźnie, to były raczej niezobowiązujące wzorce obyczajowo-kulturowe, które budziły zainteresowanie, a może nawet sympatię, zaś w domowych pieleszach ta sama propozycja kulturowa była już daleko trudniejsza do zaakceptowania, bo mogła oznaczać ingerencję w rodzimy, staropolski model oraz trwałe w nim zmiany. A na to już, przynajmniej w masowej skali, zgody nie było” (s. 400). W ramach tego wątku Tygielski sugeruje, że „Włosi – w XVI i XVII w. pozostający nadal w awangardzie społecznych rozwiązań i cywilizacyjnego postępu – byli przez polską szlachtę chętnie widziani jako wykonawcy, ale już nie jako nauczyciele”. Dlaczego? „Zapewne zaważyła na tym »niższość stanowa«, która cechowała zdecydowaną większość włoskich imigrantów, co ułatwiało miejscowej szlachcie patrzenie na nich z wyższością i traktowanie co prawda z sympatią, lecz nie całkiem serio” (s. 400). To bardzo ważna obserwacja z punktu widzenia rozważań nad tak wielbioną dziś polską szlachtą i szlachecką Polską. Jak w Hiszpanii kruszce, tak w Polsce zboże, umacniające szlachtę, okazało się zatrutym bogactwem (s. 406: „Istniejący stan rzeczy konserwował się i utrwał; brak było bodźców do przeprowadzenia niezbędnych reform strukturalnych i modernizacji systemu społecznego i gospodarczego”). Ciekawe, że dziś taka teza wraca wśród ekonomistów w odniesieniu do krajów hojnie dotowanych przez naturę np. bogactwem naftowym. Wnosi też istotne elementy do rozważań nad procesami migracyjnymi. Migranci nieraz odegrali rolę modernizacyjną – i to nie tylko w charakterze siły roboczej przy realizacji różnych projektów. Różne kraje wręcz organizowały imigrację w intencji zmodernizowania się. Warto jednak pamiętać, że rola migrantów mogła zależeć nie tylko od nich, ale też od otoczenia, w którym przychodziło im funkcjonować.

Z doświadczenia własnej refleksji nad migracjami wiem, że wrażenia migrantów o nowym kraju dużo mówią o tym przez nich opuszczonym. Ciekawe, że opisani przez Tygielskiego Włosi są zaskoczeni strukturą stanową, szlachecką dominacją, blokującą rozwój mieszczańskiej zamożności, rozdzielnością stanów szlacheckiego i mieszczańskiego („o stanie chłopskim nie wspominając”), także zamieszkiwaniem i trzymaniem się bogatszych raczej na wsi, dominacją peryferii nad centrum, małym znaczeniem stołeczności (s. 392–393). Takie wrażenia mówiły dużo o samych Włoszech. Pytanie, czy o innych krajach i kontynentach też.

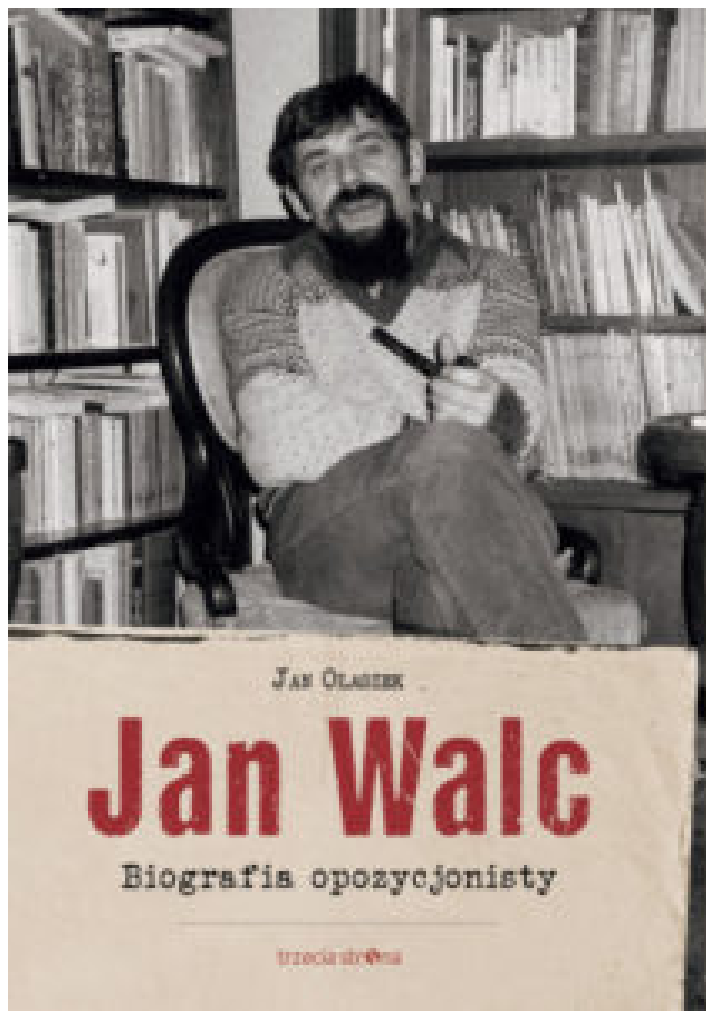
Ciekawe są rozważania Tygielskiego nad wpływem migracji na poczucie tożsamości obu stron oraz, mówiąc współczesnym językiem, na ich identyfikację narodową. Przy lekturze odniosłem wrażenie, że nowożytni Włosi nie różnili się w tym względzie od mazowieckich chłopów jadących do Ameryki. W jednym i drugim wypadku znalezienie się w obcym środowisku umacniało poczucie własnej tożsamości. Jeżdżący szukali też swoich pobratymców i materialnych znaków obecności przedstawicieli własnej społeczności za granicą.

Ciekawe są rozważania Tygielskiego nad bilansem wpływu przybyszów z Włoch na rzeczywistość Rzeczypospolitej, rozumianym szerzej niż pozostawione dzieła sztuki. Czy ich obecność jako architektów, kupców, bankierów, poczmistrzów, doradców, sekretarzy... (s. 115) modernizowała Polskę – już mniejsza, czy zgodnie z wolą szlachty, czy bez niej? Czy może modernizowała, ale zmniejszała zapotrzebowanie na takich ludzi własnego chowu, co perspektywicznie mogło mieć swoje negatywne konsekwencje? To były czasy, gdy nad Wisłą jeszcze nie widziano zaistniałych załóżków zacofania. W ogóle na świecie jeszcze nie myślano w takich kategoriach. W późniejszych wiekach w różnych krajach nieraz chciano natomiast czy to wysyłać swoich, by daleko nauczyli się różnych rzeczy, czy sprowadzano ludzi w ramach programu modernizacyjnego. W jakimś momencie pojawiła się też obserwacja, że obcy, choć już nieraz jak najbardziej zasiedzieli i choćby przez to swoi, monopolizują pewne dziedziny życia, zwłaszcza nowoczesne. Z niektórych dziedzin życia obcy bądź uznawani za takich bywali szybciej usuwani niż z innych. W czasach badanych przez Tygielskiego Włosi wszędzie pracują jako dyplomaci. W świetle książki wygląda to na ich narodową specjalność. Można rozważyć, czy w czasach ukształtowanych państw narodowych powierzano funkcje dyplomatów obcym. Odnoszę wrażenie, że na ogół chciano, by byli własnymi poddanymi bądź obywatelami.

W swojej książce Tygielski cytuje Antoniego Mączaka: „W odniesieniu do przeszłości danego kraju, zwykle ojczystego – czy nim Polska, czy Ukraina, tak blisko ze sobą związane – zbyt często wychodzimy od opisu; nie tyle badamy postawiony temat, co określamy jego ramy: od–do w czasie i przestrzeni. Określenie owych ram bywa koniecznością przy doborze materiału źródłowego; wyznaczają to środki i czas do dyspozycji badacza. Nie wolno jednak z konieczności czynić zalecenia czy nakazu i rezygnować z szerszej refleksji” (s. 119). W recenzowanej książce autor idzie drogą wskazaną przez swego nauczyciela. Bardzo to popieram. Uzupełnię jednak przytoczoną wskazówkę hasłem: „Badacze migracji wszystkich epok, łączcie się!”.

Redakcja językowa: Beata Bińko

[Szalony opozycjonista?](#)



MARCIN KULA

Szalony opozycjonista?

Jan Olsztek, *Jan Walc. Biografia opozycjonisty*, Trzecia Strona, Warszawa 2018, ss. 439.

Autor przedstawia swoją książkę jako naukową (s. 12). Zastanawiam się, w czym wyraża się jej charakter naukowy w porównaniu do biografii powstających staraniem nienaukowców. Czy w tym, że autor systematycznie wykorzystał jak największą bazę materiałową? Chyba nie, bowiem w pewnym typie publikacji każdy powinien podjąć wysiłek w takim kierunku. Więc może o naukowości decyduje pomieszczenie przypisów? No cóż, każdy uczciwy autor powinien podać, skąd zaczerpnął wiadomości. Czy w końcu o naukowości stanowi język? Książka naukowa, jak wiadomo, powinna być pisana drewnianym językiem i nie nadawać się do czytania przez szerszą publiczność. Jeżeli jednak tak, to Olsztek nie spełnia owego kryterium. Książkę dobrze się czyta! Nawet więc jeśli autor w swoim miejscu pracy nie dostanie za nią punktów, na których opiera się współczesna nauka – skoro książkę „się czyta”, nie została wydana w wydawnictwie naukowym i niezbyt wiadomo, do jakiej dyscypliny ją zaliczyć – to ja uznaję ją za ciekawą, wiele przynoszącą i wartą przeczytania. W szczególności cenię zajęcie się przez autora-historyka zjawiskami zachodzącymi swego czasu w środowisku literaturoznawców oraz w samej literaturze. Może te nieszczęsne podziały pół między dyscyplinami, u nas o solidności muru berlińskiego, zaczną się w końcu łamać. Tyle wstępu.

Istnieją różne typy biografii. W wypadku niektórych przedmiotem zainteresowania jest sam człowiek, a motywem pisania chęć zrozumienia go, czasem też chęć lepszego zrozumienia dróg powstawania jego dzieł. W innych wypadkach biografia daje pretekst do studiowania epoki, pokolenia, interesującego środowiska. Praca Olaszka jest bliższa temu drugiemu modelowi. Nie wiem, czy takie było zamierzenie autora. Postać Jana Walca z pewnością go fascynuje. Brutalnie jednak mówiąc, historycy nie są najlepiej przygotowani do zajmowania się rozgrywaniem przez bohatera jego dylematów, wnikaniem w psychologię itd. Powieściopisarze i dziennikarze robią to lepiej (może psychologowie też, ale ich jeszcze trudniej czytać niż historyków-naukowców). Nadto autor, jako przyzwoity historyk, chce badać dzieje, a nie psychologię bohatera. Nawet zastrzega się, że trudno mu przedstawiać niektóre sprawy, jako dotyczące życia prywatnego (w kontekście stania się Walca ojcem w wieku 19 lat, s. 34: „Trudno o takich sprawach pisać, mają one charakter typowo prywatny. Nie sposób jednak ich pominąć, bo bez uwzględnienia tego kontekstu nie da się zrozumieć późniejszych wydarzeń”; w kontekście odejścia od żony, s. 339: „O najważniejszej z nich [ze zmian w życiu bohatera – M.K.] trudno mi pisać, bo dotyczyła życia prywatnego, ale nie sposób jej w biografii pominąć”). Rozumiem i podzielam autorskie zahamowania. Ograniczają one jednak drastycznie możliwość przyjrzenia się człowiekowi. Dlaczego Walc był takim oryginałem, buntownikiem nawet wobec własnych rodziców, po prostu buntownikiem „na okrągło”? Jakkolwiek by to paradoksalnie brzmiało, nawet jego wczesne wstąpienie do ZMS-u sam tłumaczyłbym chęcią aktywności i buntem wobec marazmu bądź wobec postawy wielu kolegów – jeśli oczywiście przywiązywać wagę, jak czyni autor, do decyzji, która wtedy mogła być bardziej rutynowa niż znacząca.

Autor przedstawia recenzje pisane przez Walca. One niewątpliwie go bawią, bawią też czytelnika. Inteligentne, a złośliwe recenzje na ogół bawią. Nie wszyscy jednak pisali i piszą recenzje w takim stylu; sam, szczerze mówiąc, na ogół piszę w innym i widzę w tym więcej sensu. Bohater książki – sądząc z przedstawionego obrazu – wydaje mi się trochę... zarozumiały, a może przemądrzały? Jak inaczej mógłby tak mocno stać na stanowisku, że jako jedyny ma rację? Jak mógłby przejeżdżać się po innych tak ostro i agresywnie? A może to autor bardziej zwracał uwagę na mocne recenzje i wypowiedzi Walca? Prawda, wobec tzw. przeciętnych ludzi ten sam Walc nie jest przemądrzały. To z pewnością można zapisać na jego dobro – ale wobec innych piszących i działających jest jak przysłówkowa brzytwa. Czy dlatego, że się taki urodził? Może. Tyle że w badaniach na ogół nie potwierdza się istnienia takich skłonności od urodzenia. Ani na przykład w odniesieniu do zbrodniarzy hitlerowskich z jednej strony, a do Sprawiedliwych z drugiej, nie wykrywano jakichś predyspozycji w jednym lub drugim kierunku. W obu sytuacjach byli to – przynajmniej na początku – zupełnie normalni ludzie, którzy skierowali się jednak w różne strony. Skądinąd trudno mi zaakceptować tezę Philipa Zimbardo, że środowisko z każdego może zrobić łajdaka – tak bowiem nie jest. W kwestii robienia z nas aniołów przez środowisko – o ile wiem – Zimbardo nie wypowiadał się. Pytanie o charakter lub charakterek Walca pozostaje zatem otwarte.

Zostawmy jednak cechy bohatera. Jak wspominałem, nie im poświęcona została książka. Zarazem nie jest ona też biografią pretekstową. Celem autora nie wydaje się pokazanie fragmentu dziejów kraju przez pryzmat losów postaci. Dzieje Polski są oczywiście obecne gdzieś w tle, ale Olaszek je raczej jedynie przypomina. Na pierwszy plan wybija się codzienność w funkcjonowaniu opozycji – postrzegana poprzez życie opozycjonisty. Najciekawsze są kontakty Walca, jego kręcenie się wśród ludzi, świadectwa jego funkcjonowania i działania. My, historycy, umiemy takie sprawy analizować lepiej niż myśl naszych bohaterów. Nieprzypadkowo SB podobno ceniła absolwentów z wykształceniem historycznym (sic!). Bardzo ciekawy jest opis Salonu Walendowskich, realia funkcjonowania Biura Interwencji KOR, fragmenty o życiu podziemnego drukarza, zarysowanie sporów i kłótni w opozycji demokratycznej, także, dajmy na to, stosunki Walca z jego kolegą, pedagogiem Krzysztofem Konarzewskim, stojącym po przeciwnej stronie politycznej. To bardzo ciekawy i ważny wątek, istotny dla zachowania proporcji w dzisiejszych przedstawieniach sytuacji. Mimo częstego dziś dyskursu o zdominowaniu narodu polskiego przez komunistów warto pamiętać, że za prawdziwej okupacji granica oddzielająca od wroga była wyraźniejsza i musiała taka być.

Przy okazji sygnalizowanych opisów Olaszek pokazuje też oczywiście kawał codziennego życia w Polsce, niezależnie od tego, czy było ono życiem opozycjonisty, czy bardziej przeciętnego człowieka. Widzimy zasięg władzy SB, która mogła nie tylko nie dopuścić do zatrudnienia kogoś, ale mogła też blokować publikowanie tekstów przez danego autora (a zdawało mi się, że takie zapisy rodziły się w odpowiednim wydziale KC!). Olaszek pokazuje, że nawet taki człowiek jak Walc mógł podpisać zobowiązanie do współpracy z SB, z czego zresztą później nic nie wynikało. Ciekawe jest przedstawienie młodych opozycjonistów, którzy nie mieli oparcia w rodzinach warszawskich. Warszawiacy byli w lepszej sytuacji – nawet ci, których rodzice byli komunistami (ci starzy komuniści, niezależnie od niepokoju o dziecko, nieraz sympatyzowali z nim, jakby wspominając własną buntowniczą młodość).

Instruktywne są Olaszka informacje o realiach przeżyć niedoświadczonych aresztowanych. Ciekawe są jego uwagi o życiu studenckim na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Trochę sam się w tym odnajduję, a trochę nie. Nie wiem, czy na historii, którą studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim, było mniej tych wszystkich dyskusji na pograniczu problematyki zawodowej i wydarzeń przeżywanych niż na polonistyce – czy parę lat różnicy między studiami moimi i Walca tyle zmieniło. Różnice między instytutami oraz kierunkami są jak najbardziej prawdopodobne. Występowały też w sprawach innej natury. Na historii UW nie było takiego antagonizmu z IH PAN, jak na polonistyce z IBL-em.

Ciekawe są również wątki z życia codziennego, teoretycznie odległego od polityki – na przykład z życia szkoły, gdzie Walc uczył, czy z uniwersytetu. Także realia życia w stanie wojennym (żona Walca wioząca nielegalnie do Warszawy ofiarowaną jej połówkę świni – i to nie w kawałkach – pod spódnicą, udając ciężę, jak „baby” za okupacji pociągami na Dworzec Wileński, lecz samochodem przez rogatki!). Oczywiście w tamtym ustroju nic nie mogło być całkiem niezależne od polityki. Najgorzej dla człowieka było, gdy różne rzeczy się sprzysięgły przeciw niemu – z powodu jego działania bądź nawet bez

jego zasług. Jak zauważył Andrzej Celiński, mówiąc o Walcu: „Jak ktoś miał wilczy bilet i do tego był jeszcze ostry, to w ogóle miał przechłapanie” (s. 102).

*

Niektóre ze spraw omówionych przez autora mogą wejść do dużo szerszych analiz. Codziennosc funkcjonowania opozycji dużo mówi o Polsce. Jakkolwiek by były przykre prześladowania i represje, nie świadczyły już o sile systemu. Jeżeli opozycjoniści mogli żyć tak intensywnie towarzysko, jeżeli mógł działać Prymasowski Komitet Pomocy na Pivnej, jeżeli członek KC spędzał noc na uczelni ze strajkującymi studentami (1968) i nadal egzystował, jeżeli ludzie podrzucali (choćby anonimowo) produkty żonie uwięzionego, jeżeli część literatów publikowała jednocześnie oficjalnie i w podziemiu, jeżeli mnóstwo ludzi było „za, a nawet przeciw”, jeżeli zawodowi drukarze przyłączali się do drukowania w podziemiu dla zarobku... to ten system musiał być już bliski klęski. Opisane życie codzienne internowanych w Jaworzu, niezależnie od łańdactwa samego uwięzienia tych ludzi, wskazuje, że system miał już starte zęby. Jednocześnie, ponieważ książka poświęcona jest opozycjoniście i opozycji, mniej dostrzega się w niej jakże ważną część społeczeństwa aktywnie uwikłaną w system (należałoby pewno przedyskutować, co ten termin znaczy, bowiem uwikłani byliśmy wszyscy choćby przez fakt brania pensji w państwowych instytucjach). Słabiej widzi się także przeogromną masę tych, którzy – co mogło się nakładać na poprzednią grupę – byli „za, a nawet przeciw”. Nie jest źle pamiętać, że w 1989 r. frekwencja w pierwszej turze wyborów wynosiła 62%, w drugiej zaś 25%. Tak, wiem, że przyczyny tego zjawiska mogły być bardzo różne, a interpretacja jest skomplikowana.

Inne sprawy mogłyby wejść do analiz dotyczących daleko nie tylko Polski jako występujące w wielu procesach dziejowych – choć autor nie idzie w tym kierunku (a szkoda!). Tak jest w wypadku roli inteligencji oraz intelektualistów w krajach mniej zmodernizowanych (zacofanych?). Także w wypadku opisanej buntowniczości studentów, w wypadku stwierdzanego kręcenia się wokół ruchów buntowniczych ludzi nieznajdujących dla siebie roli w legalnym społeczeństwie, a w tym ludzi z marginesu... W niejednym procesie przemiany występowała jedność zbuntowanych przeciw wspólnemu wrogowi oraz ich dzielenie się, gdy wroga już brakowało. Wszędzie wśród dawnych opozycjonistów po zwycięstwie pojawiało się wielu sfrustrowanych. Nieraz okazywało się, że ci, którzy nie narażali się, wychodzili lepiej, a liczba dystansujących się wobec dawnego reżimu nagle okazywała się tak duża, że aż trudno zrozumieć, jak on istniał. Z narażających się jedni zostawali ministrami, drudzy nosili za nimi teczki, a jeszcze inni, zapomniani, znaleźli się na bezrobociu. Niektórzy nie potrafili odnaleźć się w nowej rzeczywistości, gdzie niekoniecznie potrzeba było tych samych talentów i kwalifikacji (Walc, jak pokazuje autor, chyba nie odnalazł się). Ludzie wpieryw bliscy, tym bliżsi, że łączyła ich sytuacja działalności podziemnej, nieraz rozstawali się, wręcz warczeli na siebie. Stawało pytanie o wybór dalszej drogi dla społeczności. Także pytanie o odniesienie się do zakończonej epoki, pytanie o jej rozliczenie, szerokość (wybiórczość) nowych sojuszy. Pojawiało się pytanie o ocenę własnego życia i dokonań.

W stosunku do intelektualistów czy twórców działających w wielu dziedzinach

wielokrotnie powstawało zagadnienie oceny dokonanych wyborów: czy właściwe było oddawanie się powołaniu wynikającemu z posiadanego zawodu, czy podjęcie działalności politycznej? Czasem jedne wybory zbiegały się z drugimi, czasem w którąś stronę pchały przypadki, czasem działał nakaz moralny. Tadeusz Kotarbiński, wychodząc z Warszawy po Powstaniu, wybrał wspomaganie w drodze osoby tego wymagającej zamiast wyniesienia własnych notatek. Nie zawsze sytuacje bywały jednak tak wyraźnie zdefiniowane. Czy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sytuacja była tak jasna, że dawała wyraźne podstawy dokonania wyboru? Co straciła – górnolotnie mówiąc – Polska na zmniejszeniu możliwości pracy wtedy i po 1989 r. wybitnego literaturoznawcy Jana Walca na jego zawodowym polu? Tak, wiem, takie postawienie sprawy rodzi pytanie, czy o lepszy świat winni walczyć tylko ludzie, którzy nie mają szans większych niż na zmiatanie ulicy. Chociaż jednak mogę być wdzięczny Walcowi drukarzowi jako czytelnik wielu podziemnych tekstów, to jednak żałuję, że nie napisał więcej tekstów zawodowych. Oczywiście, trudno wykluczyć, że Walc na swoim zaangażowaniu się w politykę zyskał też zawodowo. Za „pierwszej »Solidarności«” Andrzej Wajda przywiózł Gérarda Depardieu do Polski, by mu pokazać kraj w rewolucji – w perspektywie grania przezeń w filmie Danton. Niejeden historyk czy socjolog stał się mądrzejszy nie tylko dzięki lekturom, ale dzięki udziałowi w jakichś wydarzeniach. Nie mam wątpliwości, że Stefan Kieniewicz pamiętał o swoich doświadczeniach z rewolucji bolszewickiej (o czym nota bene napisał młodzieńczą opowieść), gdy badał rabację galicyjską. Z pewnością pamiętał też różne swoje i kolegów działania przeciw okupantom, gdy badał Powstanie Styczniowe. Gdy Karol Modzelewski opowiadał Aleksandrowi Gieysztorowi o atmosferze strajkowej w Stoczni Gdańskiej, ten zareagował, że to atmosfera początku Powstania Warszawskiego. Można się domyślać, że tkwił w tym element pesymistycznego proroctwa, które szczęśliwie nie sprawdziło się.

Ostatnie zdanie: jeżeli po przeczytaniu monograficznej książki przychodzą do głowy tak różne myśli, to znaczy, że autor odniósł sukces.

Korekta językowa: Beata Bińko